

Wojciech Łęcki

Kroki Pielgrzyma

Janowi Pawłowi II
w setną rocznicę urodzin

Gdy duch porywa się na przestwór
rozum pośród tajemnic
szuka śladów Milczenia
nie dowierając biblijnym zapisom
A świat w swojej kruchości
truchleje bezradnie
niepewny jutra
pod czujnym okiem nieomylnych

W wiecznym rozdarciu
między wielkim wybuchem
a odpryskami śródwiecznego chaosu
wszystko może być niczym
a nic uchodzić za wszystko

I jeszcze to zawsze
które Świętość ogarnia
i to nigdy co bywa
wielkim prawem natury
lub odwieczną pomyłką

Przybite dłonie
nie odepchną od krzyża
nie porzucą swojej szubienicy
nie przerwą milczenia
Tylko Przedwieczny
muśnie czasem po nosie
zagubioną ludzkość
pandemicznym palcem

Przybite dłonie
przecierają oczy milionom
na ogrom cierpienia
na bezradność człowieka
na przewrotność losu
na ułomność dziejów

18 maja 1920 roku Defilada
Kijów zatrzasnął przed nią okiennice
oczekując wyzwolenych sotni
kiedy dumna Warszawa
niosła marszałka na skrzydłach euforii
ku niebotycznej katastrofie

Tego dnia Zbawiciel
z boską przenikliwością
a jakby przypadkiem
mościł kołyskę apostoła
w siermiężnych Wadowicach

Nim skurczyły się dni letniego kwartału
czerwone armie pod krwawym sztandarem
ruszyły siłą przymuszać
wolne narody do wolności
na łupieżczych warunkach

Morderczy opór zbrojnych duchem tyralier
Tysiącami szły od Warszawy
ku wielkiemu zwycięstwu
co przez chwilę zawisło
na krzyżu księdza Skorupki
wątlą ręką wzniesionym ku Niebu

Nikt nie czekał na cud
Wszyscy go dokonali
Karolowi Józefowi Wojtyłe
nie zagrały trąbki do snu

w wojennej kołysce

Kaukaskie zagony Gayana
osłabły na płockich redutach
daleko od Wadowic
Bezbronnie dziecię zanosilo się płaczem
z prozaicznych powodów

W jego dorastanie
z uporem ingerowała śmierć
po swojemu korzystając z wolności
Najbliżsi odchodzili po kolei
do niebieskich ogrodów

Brunatna noc zapadła
z niespotykaną brutalnością
Osierocony w straszliwej niewoli
nie znalazł odpowiedzi
na dręczące pytania

Świat się obrócił 22 razy
Starcowi śmierć głodowa
furtą do wieczności Młodzieniec
w teatrze nie odnalazł siebie
z dnia na dzień wezwany
na ważne zastępstwo
gdy straszny czas próbował ogarnąć
bezradnymi myślami

Jak wyjść z miłością do oprawców
gdy strach paraliżuje wolę
a ból przeszywa doczesność
kiedy dłonie Chrystusa
gwoździom krzyża posłuszne
Idziemy do nich z naiwnością dziecka
po omacku jak kornik
próbując przenikać sens cierpienia

Brunatna noc po sześciu latach
przybrała kolor czerwony
Kult jednostki zamiast kultu Jezusa
A on – wikariusz w Niegowici –
począł wskazywać bliźnim drogę
w przeciwnym kierunku –
po śladach świątków
na rozstajach Podhala

Niespodzianie wydłużył krok
Góralską prawdą nieskażoną
zaczął otwierać drzwi do Stwórcy
których nie przestąpili doktorzy kościoła
Wracał do nich w pątniczej purpurze
i jako papież z *dalekiego kraju*

Ułomny świat
nie wszędzie mu sprzyjał
choć zadziwiał swoją odmiennością
Wstrzymywał oddech na widok pielgrzyma
całującego ziemię która go wydała
Nie wierzył że modlitwa
ciszą katedr zwycięża

A on wołał na krakowskich Błoniach:
*(...) zanim stąd odejdę, proszę was,
abyście całe to duchowe dziedzictwo,
któremu na imię Polska,
raz jeszcze przyjęli z wiarą,
nadzieją i miłością – taką,
jaką zaszczepia w nas Chrystus
na chrzcie świętym:
– abyście nigdy nie zwątpili
i nie znużyli się
i nie zniechęcili (...)*

I wzywał Ducha na Placu Zwycięstwa:
*I wołam ja, syn polskiej ziemi,
a zarazem ja, Jan Paweł II Papież,
wołam z głębi tego Tysiąclecia,*

*wołam w przeddzień Święta Zestania,
wołam wraz z wami wszystkimi:
Niech zstąpi Duch Twój!
Niech zstąpi Duch Twój!
I odnowi oblicze ziemi.
Tej Ziemi.
Amen.*

Sierpniowy zryw ku wolności
oszołomił modlących się o nią
Zapomnieli o swoich marzeniach
z cichą pokorą powierzanych Panu
kiedy cierpienie stało się bezpłodne

Ojciec Święty od pyszałków
co mają kościół do wybielania sumień
w cynicznym pędzie ku zaszczycitom
na przekór szyderstwom
skrzętnie przemilczanym

Ojciec Święty od biedaków
budujących przepychu ołtarze
czemu w przestrzeni wyrosłej z miłości
zanika równość jedność braterstwo
jak gdyby można podążyć
za skrzywdzonym Kainem

Jego mit nie wyjaśnia
nieustannego dążenia ludzkości
do powszechnego niewolnictwa
ani gry pozorów
która mamiąc uchodzi
najwyższej uwadze
powodując dookólne biedy

Pierwszą encykliką papieską
proklamował wielkość
jednostki ludzkiej
dążącej do doskonałości
Jakże się to rozmija
z tym co widać wokół

Nie przemyślał zapewne
maestrii paradoksów
wśród których szamoce
się nasza świadomość
skutecznie umykając
próbom zdefiniowania

Ziemia otwarta na oścież
a nikt jej nie opuszcza
Bóg jest samą miłością
a mieszkając w cierpieniu
Jako jeden jedyny
ma kościołów wiele

Pielgrzymując do świętych
nie zdołał odpowiedzieć
na odwieczne pytania
Odchodził pozbawiając śmierć
intymności i tajemnicy
jakby sam Najwyższy
podmuchi wiatru
zamykał księgę jego życia
Inny wiatr suszył łzy
w zapadłych zaułkach
do których nie dotarł

Elity co przed nim klękały
bez pardonu ruszyły po władzę
nawet nie próbując
stawiać miłości ponad prawem
Sądziły go Nie sądziły
że będzie miarą

Nazajutrz zapomniały
co miało je boleć
tak jak jego